

GŁOS MISJI WEWNĘTRZNEJ

Rok II.

Sierpień

Nr. 8.

Cena
30 g



„W tym znaku zwyciężysz”

Treść:

	Str.
Św. Jacek a Misja Wewnętrzna	225
Życie z Wiary	230
Legitymacja do nieba	235
Hałda	240
Len	244
Harfista z Sorentu	247
Najdoskonalsze widzenie Pana Jezusa	253
Róże	255
A i ja chcę zdobyć wielkość	str. 3 okładki



Do źródeł radości życia przez rekolekcje zamknięte!

W Kokoszycach (stacja kol. Wodzisław) odbędą się rekolekcje zamknięte:

dla Kapłanów: od 7—11 sierpnia;

dla Kongregacji Marjańskich: od 17—21 sierpnia;

dla Matek Chrześcijańskich: od 21—25 sierpnia;

dla Mężczyzn (członków III. Zakonu): od 31 sierpnia
do 4 września;

dla Członkiń Tow. św. Winc. a Paulo: od 5—9 września;

dla Kapłanów: od 11—15 września.



Bierzcie udział

w pielgrzymce do Grobu błog. Jana z Dukli
i cudownego obrazu Matki Boskiej Łaskawej
we Lwowie, w czasie od soboty dnia 12 sierpnia
do wtorku dnia 15 sierpnia włącznie.

Koszty pielgrzymki wynoszą III klasą 23,50 zł.
II klasą 32,— zł.

Noclegi w hotelach po 1, 2, 3 i 4 zł.

Wyżywienie całodzienne 2,50 i 3,— zł.

Bliższych informacji udziela i zapisy przyjmuje:

Liga Katolicka Katowice, ul. Marsz. Piłsudskiego 58
Telefon 13-30. — P. K. O. 307 698.

Św. Jacek hetmanem Akcji Katolickiej i Misji Wewnętrznej.

Kazanie, wygłoszone dnia 17 sierpnia 1932 r. w katedrze
katowickiej.

„Byliśmy jako matka, karmiąca
swe dziatki“ (I. Tes. 2, 7).

Ekscelencjo, Najdostojniejszy Księżu Biskupie!

Czcigodni Księża Bracia! Kochani Chrześcijanie!

Jest chwała na niebie i jest chwała na ziemi. Jak niebo przewyższa ziemię, tak chwała niebieska przewyższa chwałę ziemską. W niebie bowiem jest chwała wieczna, a na ziemi tylko krótka i jak cień przemijająca. Chwała ziemską tylko wtedy jest usprawiedliwiona i tylko wtedy ma wartość prawdziwą, gdy jest odbłaskiem chwały wiecznej, czyli gdy we czci i chwale u ludzi jest ten, co zasługuje także na chwałę u Boga, albo przez Boga już jest wywyższony i w wiecznej chwale umieszczony. Taką pewnością mamy przedewszystkiem o Najświętszej Marji Pannie, którą Bóg wywyższył ponad Aniołów i wszystkich Świętych, a którą dlatego słusznie i na ziemi wysławiają wszystkie światowe języki, a którą w szczególny sposób czczą Polacy, kornie nazywając ją *Regina Poloniae*.

Ale jak na sklepieniu niebios obok słońca i księżyca jest mnóstwo innych gwiazd precudnych, które wszystkie są zapalone wszechmocną ręką Boską i wszystkie głoszą chwałę Boską, chociaż w dalekich od słońca i księżyca świecą odstępach, tak też około Najświętszej Marji Panny błyszczą na firmamencie Kościoła inni święci i święte Pańskie, również oblani blaskiem chwały Bożej. O apostołach mówi ewangelista, że im „Pan dopomagał i utwierdzał ich mowę przez cuda pozad idące“ (Marc. 16, 20). Tak samo wielu innych wiernych sług i służebnic Swoich otoczył Bóg cudowną Swoją potęgą. Jak łuna z daleka wskazuje miasta, rześiście oświetlone, tak blask mocy Bożej zawsze znaczył i znaczy drogę Świętych i ich groby.

I nad Polską nieraz zajaśniał ten blask. Wszak i Polska ma swoich Świętych, wszak nazywano ją nawet matką Świętych. Dlatego też przy każdej uroczystości poważnej z uniesieniem śpiewamy: *Gaude Mater Polonia, prole fecunda nobili* —

Ciesz się, Matko Polsko, że tak świetnem szczyścić się możesz potomstwem!

W tym hymnie *Gaude Mater Polonia* mieści się także chwała naszego Śląska, bo Śląsk od wieku XII począwszy przez długi czas stanowił czoło kultury polskiej. A jeżeli pierwszego Świętego Polsce dał Kraków w osobie biskupa-męczennika Stanisława, to zaraz drugiego wielkiego Świętego dał Polsce Górny Śląsk w osobie św. Jacka, którego dzień dzisiaj obchodzimy. O świętym Jacku mówi Kościół, że „napelniony był mądrością jako rzeka“ (Eccli 47, 16), a bulla kanonizacyjna z roku 1594 stwierdza, że nie było świętego w starym i nowym zakonie, któryby więcej od świętego Jacka cudów zdziałał. Tych cudów naliczono od jego śmierci aż do kanonizacji 858, w tem samych wskrzeszeń zmartwych 54. Pod tym względem porównać go można tylko z cudotwórcą zakonu franciszkańskiego, św. Antonim. Lecz dziwna rzecz, że św. Antoniego w obrazie lub figurze spotyka się u nas w każdym prawie kościele, gdy tymczasem św. Jacek, rodak nasz, popularniejszy jest we Francji, a przedewszystkiem w Hiszpanji, aniżeli w Polsce, albo na Śląsku. A jednak za łaską Bożą po dziś dzień jaśnieje chwałą cudów: *miraculorum gloria Christi coruscat gratia*.

Jacek święty, to rodak nasz najbliższy, bo to Górnoszlązak, jedyny Górnoszlązak kanonizowany, to znaczy jedyny Górnoszlązak, któremu Kościół przyznał pełną cześć ołtarzy. Pochodził ze szlacheckiego rodu Odrowążów, a urodził się — na przyszły rok będzie 750 lat temu — w Wielkim Kamieniu w powiecie Strzeleckim, wtedy, gdy jeszcze cały Śląsk, i z Wrocławiem i z Lignicą, należał do Polski. Młodzieniec obrał stan duchowny, a ponieważ był „jako wzór i świeca cnót kapłańskich, w nabożeństwie gorący, na sumieniu piękny, na ciele czysty, w obcowaniu mądry, w rozmowie przyjemny i ostrożny i we wszystkim bardzo przykładny“ (Skarga), powołał go biskup krakowski Iwo, który był jego stryjem, na kanonika i zaufanego doradcę, a gdy wyjeżdżał do Rzymu, zabrał go ze sobą.

W Rzymie spotkali się Polacy ze św. Dominikiem, Hiszpanem, który równocześnie ze św. Franciszkiem jaśniał wtedy na firmamencie Kościoła, jaśniał jako pochodnia gorejąca i woń życia Bożego wszędzie rozsiewał i przeciw heretykom i kacerzom jałmużnę prawdy rozdawał. A Bóg jak apostołom pomagał mu i utwierdzał jego mowę przez cuda pozad idące. Polacy byli właśnie świadkami, jak św. Dominik wskrzesił zmarłego. Wtedy ze świętego Hiszpana na świętego Polaka przeskoczyła iskra powołania. Św. Jacek z bratem swoim Czesławem wstąpił do zakonu kaznodziejskiego i za rok wrócił do Polski jako Dominikanin. Św. Jacek okazał się apostołem na największą skalę.

Nam, którzy dzisiaj silimy się na uruchomienie w Polsce Akcji katolickiej, warto przypomnieć, że właśnie św. Jacek po raz pierwszy ciało narodu polskiego zelektryzował myślą katolicką i po raz pierwszy akcję katolicką przerzucił do Polski. Św. Jacek, to pierwszy z narodu naszego apostoł i misjonarz. W tem jego zaczenie historyczne. Na kościach św. Wojciecha narodził się nasz naród Chrystusowi, w męczeńskiej śmierci św. Stanisława po raz pierwszy świadomie krew przelał za wiarę i prawo Boże i pokazał, że umie za wiarę umierać; w osobie zaś św. Jacka po raz pierwszy dał dowód, że umie z wiary żyć i dla Królestwa Chrystusowego z poświęceniem pracować. Z własnego doświadczenia pamiętamy z okresu plebiscytu i powstań, że łatwiej jest o męczenników, aniżeli o wytrwałych i rzetelnych pracowników. To też należycie ocenimy św. Jacka, który był pierwszym wielkim działaczem katolickim narodu polskiego.

Przerobił i przeorał Polskę całą wzdłuż i wszerz, od Krakowa aż do Gdańska, a od Gdańska aż do Kijowa, a jeżeli wierzyć podaniom, to na północy dotarł aż do lodowców Skandynawji, a na wschodzie przeszedł nawet przez mur chiński, wszędzie głosząc ewangelję *słowem, życiem i cudami*, któremi go Bóg hojnie wspomagał. Przy tem św. Jacek dziwnie spajał rozdarty wtedy na dzielnice naród polski. Wszędzie bowiem zakładał klasztory dominikańskie, a siecią swojej organizacji zakonnej jakby prądami elektrycznymi złączył wszystkie dzielnice tak, że po raz pierwszy „cały naród czuł jednym czuciem, drżał jednym drżeniem, żył jednym życiem“ (Kajsiewicz). *Możnaby też powiedzieć, że św. Jacek mocno związał różanicem naród*, który po zbrodni Bolesława Śmiałego rozpadał się i groził rozsypką. Boć to św. Jacek do Polski zaprowadził różaniec i w narodzie rozszerzył kult Matki Boskiej. Za jego to czasów powstała pieśń Boga-Rodzica, którą, jak wiadomo, zaczyna się literatura polska. Jeżeli Polacy stali się i są narodem marjańskim, to walna w tem św. Jacka zasługa. Jeżeli Polska zdobyła później chlubny w historii przydomek przedmurza chrześcijaństwa, to św. Jacek pracą swoją założył do tego fundamenta. On wskazał Polsce wyraźnie tor jej dziejów: mocno oparty o zachód, o linię Kraków-Gdańsk, dążył na wschód, i chociaż chwilowo cofać się musiał przed potężną falą Mongołów, to jednak potem znowu przeszedł do ofenzywy i daleko poza Polski granicami rozstawił imię Pańskie a zarazem też imię Polski. On na zawsze związał Polskę z krzyżem i z wiarą katolicką. Słusznie tedy obrano go patronem Misji Wewnętrznej, patronem Akcji katolickiej.

Kochani Chrześcijanie! W wojsku jest taki zwyczaj, że każdy pułk ma swego bohatera, którego imię nosi z dumą. Tego bohatera znać musi każdy żołnierz, bo pułk żyje tradycją jego bohaterstwa, karmi się nią, w tej tradycji posiada jakoby

akumulator własnej i swoistej energii i dzielności. Z podobną mądrością wychowawczą zorganizować trzeba narodowe oddziały Akcji Katolickiej, która jako taka obejmuje cały świat. Polski oddział nie może chyba obrać sobie lepszego patrona od św. Jacka, który jako pierwszy w Polsce z robił akcję katolicką, i przez to Polaków z chwiejnego dotąd wieku dziecięctwa przeprowadził *in aetatem plenitudinis Christi* (Ef. 4, 13), do dojrzałości męstwa, zdolnego objąć pełność Chrystusową. Był on dla Polaków jako matka, karmiąca swe dzieci.

Ideałem Akcji Katolickiej i Misji Wewnętrznej jest, aby wszyscy z wiary żyli, aby w życiu prywatnem i publicznem wszędzie znać było wiarę katolicką. Cel ten jasno przed nami stoi jak góra o wysokim szczycie. Ale dojść trudno. Kto chce dojść na wysoki szczyt, bierze sobie, jeżeli jest mądry, przewodnika, który już tam był i drogę dobrze zna. Nic to, że słońce Boże drogę oświetla, bo są miejsca, na których przy najpiękniejszym słońcu bez przewodnika można runąć w przepaść albo utkwąć na bezdrożu. A powiedzcie sami, czybyście do polskich gór sprowadzali przewodników z innych krajów, np. z Francji? To też do Misji Wewnętrznej i Akcji katolickiej w Polsce trzeba nam polskiego patrona. Wymyśleliśmy mądre hasło narodowe: swój do swojego po swoje! Zastosujmy to hasło najprzód w dziedzinie czysto duchownej; módlmy się jako Polacy do polskich patronów o oświecenie, jak z Misją Wewnętrzną ruszyć z miejsca w polskich stosunkach i w polskich trudnościach. A my Ślązacy pielęgnujmy przytem swój regionalizm od najszlachetniejszej strony, rozszerzając kult świętych śląskich z Jackiem św. na czele. Mamy tu dużo do nadrobienia.

Albowiem jak ziemia w biegu swoim od pewnych gwiazd się czasem oddala, ale potem do nich znowu nawraca, tak też i my, którzyśmy z biegiem czasu od gwiazdy naszej, św. Jacka, znacznie się oddalili, teraz do niego powrócić musimy. Najwidoczniej zmieniają się koleje dziejów Śląska. Wracamy do gwiazdy swojej, do św. Jacka. Pierwszym znakiem takiego przybliżenia jest fakt, że św. Jacka obrano głównym patronem nowo założonej diecezji katowickiej. Ale jakże komuś wytłómaczymy fakt, że w całej naszej diecezji mamy tylko jeden kościół na cześć św. Jacka, fakt, że i w diecezjach macierzystych, wrocławskiej, gdzie stała kolebka św. Jacka, i krakowskiej, gdzie znajduje się jego grób, ledwie kilka istnieje kościołów pod wezwaniem św. Jacka? Jakże wytłómaczyć fakt, że w całej naszej okolicy rzadko kto nosi imię św. Jacka? Niema na to innego tłumaczenia, jak przodków naszych o św. Jacku prawie że zupełne zapomnienie. Jest to ilustracja do smutnej i bolesnej prawdy, że ziemia jest krainą zapomnienia, *terra oblivionis*.

Jeżeli św. Jacka, którego nazywano kiedyś cudotwórcą swego wieku, *thaumaturgus saeculi*, ani wyniesienie na ołtarze nie uchroniło od zapomnienia nawet u najbliższych rodaków, to zaprawdę cokolwiek w świecie jest, wszystko marność. Wcale nie cudowne jeszcze mistyczne zjawiska w Konnersreuth wywołują wszędzie sensację i zdaleka ściągają tłumy pobożnych i ciekawych, a tymczasem grób św. Jacka, którego Kościół wysławia, że „w mnóstwie wybranych będzie miał chwałę, a między błogosławionymi będzie błogosławionym“ (Eccli 24, 4), jest opuszczony, opuszczony nawet przez najbliższych rodaków.

Tak chyba zostać nie może. Ożywienie kultu św. Jacka jest dla Polaków, a zwłaszcza dla Ślązaków, punktem honoru. A nie tylko to. Kult św. Jacka jest dzisiaj potrzebny do zasilenia i uskrzydlenia Akcji katolickiej w Polsce. Akcja katolicka w Polsce poprzez rumowisko dziejów nawiązać musi znowu do swojej świętej tradycji i korzeniami dosięgnąć urodzajnej warstwy trzynastego wieku, który był wiekiem świętych i wiekiem największego entuzjazmu katolickiego. Akcja katolicka w Polsce korzeniami swemi sięgnąć musi do warstwy, zroszonej potem i łzami św. Jacka. Dopiero wtedy nabierze siły i rozmachu. Dopiero wtedy osłabnie, co nas dzieli, a wzmoże się, co nas łączy. Dopiero wtedy Akcja katolicka złamie zapory i zwycięży przeszkody. Dopiero wtedy miłością zwycięży przepiętny teraz jeszcze w Polsce wpływ Izraela. Z triumfem ruszy potem na wschód, śladem św. Jacka do Rosji i do Azji, gdzie niezadługo drzwi będą na oścież otwarte dla pracy misyjnej.

Nasza Misja Wewnętrzna oprzeć się musi o grób św. Jacka w Krakowie. Tam jest korzeń naszej siły, tam krynica naszego powodzenia, tam akumulator naszej energii. Zreparujmy więc kontakty, zardzewiałe i popsute z biegiem czasów, zreparujmy kontakty z grobem św. Jacka, aby ze świętych szczątków największego rodaka naszego przeskoczyła na nas iskra siły żywej i poruszyła nas, poruszyła naszych kleryków, którzy w Krakowie się kształcą, poruszyła całe duchowieństwo nasze, poruszyła Śląsk i poruszyła całą Polskę do wielkiego dzieła Akcji katolickiej.

Królem całej Misji Wewnętrznej i Akcji katolickiej jest Chrystus. Ale kiedy „w majestacie na niebieskim tronie siedzi Jezus, wszelka moc na Jego łonie“, to polskiemu oddziałowi Misji Wewnętrznej niechaj przewodniczy i hetmani św. Jacek, jako wódz doświadczony i z terenem obeznany, i niech prowadzi Polaków do wspaniałej przyszłości katolickiej.

Daj to, Panie Boże, za przyczyną Najświętszej Marji Panny, Królowej Polski, i za orędownictwem wiernego jej sługi, św. Jacka. Amen.

Ks. dr. Emil Szramek.

Życie z Wiary.

„Sprawiedliwy z Wiary żyje.“

Cnota Wiary, to ogromna, boska moc, dana ludziom. Przez Wiarę rozporządza człowiek Wszechmocą Bożą.

Jednak sama Wiara, choćby największa, nie wystarcza. Pismo św. mówi bowiem najwyraźniej: „Sprawiedliwy z Wiary żyje“, a nie mówi: „Sprawiedliwy Wiarę ma“.

„Wiara bez uczynków martwa jest.“

„Nie ten, co mówi: Panie, Panie, wejdzie do Królestwa niebieskiego, ale ten, który czyni Wolę Ojca Mego.“

A przecież Wola Ojca to nic innego, tylko uświęcenie nasze, przez życie z Wiary.

Wiara w Jezusa to życie według Jezusa. „Przykład dałem wam, abyście tak jak ja i wy czynili.“

Wiara to nie ubranie, które się tylko na święta przywdziewa, a na codzień zamyka do szafy.

Wiara ma być tem w życiu naszym, czem dusza dla ciała. Ciało bez duszy to trup; tak samo „Wiara bez uczynków jest martwa“ — to trup w oczach Boga.

Jak siłacz, gdy przestanie ćwiczyć, utraci siłę, tak samo i my, choćbyśmy mieli tak wielką Wiarę, że mogliśmy ją nawet góry przenosić, to jeśli nie będziemy jej ćwiczyć przez wykonywanie uczynków, czyli jeśli nie będziemy żyć według Wiary, to ta Wiara umrze w nas a pozostaną po niej tylko czcze formułki, bezduszne ceremonje, słowem faryzejska dewocja.

Wiara w naszym życiu ma być tem, czem para wodna w maszynie, czem prąd elektryczny w motorze.

Wiara ma się tak zrość z naszym życiem, jak gałązka ze szczepem, gdyż inaczej owoców nie wyda.

„Niech świeci światłość wasza, niech widzą wasze dobre uczynki i chwalą Ojca, który jest w niebiesiech.“

„Przykład dałem wam..... Jam jest winny szczep, wyście latorośle“ — czyli chrześcijanin, to odrośl Chrystusa, to drugi Chrystus, jak powiada św. Grzegorz z Nazjanzu.

Pan Jezus dlatego nie dyktował Ewangelji Apostołom, bo chciał, by życie i Apostołów i wszystkich wiernych było żywą Ewangelją, ilustrowaną czynami a nie martwemi głoskami na martwym papierze.

Gdyby tak przypadkiem zaginęła Ewangelja, a jakiś innowierca chciał poznać Wiarę chrześcijańską — czyby zachęcił się do przyjęcia naszej Wiary, obserwując nasze życie, tych drugich Chrystusów?

Czy może przeciwnie tem silniej utwierdziłby się w swych błędnych wierzeniach?

A nie zapominajmy, że Jezus woła: „Niech świeci światłość wasza, niech widzą wasze dobre uczynki i chwałą Ojca, który jest w niebiesiech.“

Przed kilku laty zdarzył się mi następujący wypadek na godzinie religji.

Kilka żydówek z wyższego gimnazjum uczęszczało na moje wykłady religji i objawiały najgorętszy zachwyty, że tak piękna jest nauka Chrystusa.

Jedna z nich wprost z gorączkową namiętnością pochłaniała prawdy ewangeliczne (dzisiaj już jest ochrzczona), a po kilkunastu lekcjach tak się odezwała:

„Proszę księdza, jak cudowna jest religja wasza.... a czemu katolicy tak podli?“

Odczytałem jej, jako odpowiedź, przypowieść Chrystusa o ziarnie, które padło na skałę twardą, zimną i suchą.

Przecież nie chleb ani woda winne, że ludzie chorują.

Chory organizm najzdrowsze pokarmy w truciznę przerabia.

Sama Wiara, choćby z ust Samego Jezusa słyszana, na nic się zda, gdy trafi na skalistą duszę, świadomie trwającą w uporze. Smutną tego ilustracją to Judasz i faryzeusze.

Bóg nikogo zmuszać do dobrego życia nie może, boby Sam Siebie poprawiał, dając człowiekowi wolną wolę, a potem niszczyć ją przymusem.

Niedawno pewien Hindus, człowiek wyjątkowych zdolności, przechodził najstraszniejsze katusze wewnętrzne, jakie tylko może przechodzić człowiek cierpiący duchowo z powodu tak zwanych trudności religijnych. Latami szukał odpowiedzi, która Wiara da mu całkowite zaspokojenie duszy, szukającej z żywiołową gorączkowością nieśmiertelnych prawd, jakie tylko prawdziwa Wiara dać może. Przystudjował niemal wszystkie systemy wierzeń, zbadał wszystkie religie wschodnie i wkońcu uczuł taką beznadziejną pustkę w duszy, że postanowił sobie życie odebrać, bo spotykał we wszystkich czysto ludzkich systemach wiary tylko kompromisy i schlebiana najbrudniejszym namiętnościom i pysze.

Całkiem przypadkowo wpadło mu w ręce Pismo święte.

Niestety Ewangelja, którą dostał, była wydania protestanckiego, czyli aż z trzema tysiącami błędów Lutra. Mimo to znalazł w tej Ewangelji tyle zachwycającej i porywającej prawdy, podanej w najprostszej i najprzystępniejszej formie, tak jasne i całkowite rozwiązanie bez reszty wszelkich zagadnień życia, że postanowił zostać chrześcijaninem, by Ewangelję Chrystusową wprowadzić w czyn.

Tak się przejął nauką Chrystusa, że nawet ubierał się tak jak Chrystus i powziął stanowcze postanowienie poświęcić się szerzeniu nauki Chrystusa.

Wiedząc zaś, że Europa przechwała się, że ona ma najdawniej zaprowadzoną u siebie cywilizację chrześcijańską, udaje się w podróż, by naocznie przekonać się, jak wygląda życie w Europie, oparte na dwutysięcznej blisko cywilizacji Chrystusowej.

Po powrocie do Indyj opisał o swoich wrażeniach z podróży, że znalazł w Europie Chrystjanizm, ale jako czysto zewnętrzną politurę, pociągniętą po zakamieniałem w materializmie sercu.

„Cywilizacja chrześcijańska w Europie, to pusty frazes pokrywający obłudę, fałsz, podstęp i legalizowane barbarzyństwo.“

Coby był ów Hindus napisał, gdyby był zwiedził Polskę, która szczyli się klejnotem przedmurza chrześcijaństwa i chwali się, że jest „zawsze wierna“ (semper fidelis)?

Że cywilizacja chrześcijańska w Europie zesła tylko do czczego frazesu, to winna temu w lwiej części błędna nauka Lutra, który odważył się poprawić samego Pana Jezusa, głosząc, że sama Wiara zupełnie wystarcza, że uczynki nietylko są zbyteczne, ale nawet są obrazą Boga.

Niestety luteranizm, głoszący Wiarę objawiającą się tylko w samych aktach, afektach i wzdychaniach bez wprowadzenia jej w czyn, zaraził i katolickie dusze, stwarzając chorobliwy dewotyzm.

Ileż to i u nas jest tej chorobliwej afektacji w religji, ile tylko pustej teorii pisanej po książkach, ileż to bractw, różnych stowarzyszeń lub „Akcyj Katolickich“, ale „bez czynu“. Wszystko wysila się, żeby mieć jak największą liczbę czy to Komunii św., czy to aktów strzelistych, czy członków — a prawie, że zupełnie zapomina się o życiu, jakie powinien prowadzić Chrześcijanin, drugi Chrystus.

Pan Jezus wyraźnie powiada: „Niech świeci światłość wasza, niech widzą wasze uczynki..... gdyż Wiara bez uczynków martwa jest.“

A św. Jakób dodaje: „Widzicie, iż z uczynków bywa usprawiedliwiony człowiek, a nie z Wiary tylko.“

Pewne stowarzyszenie młodzieży, szeregujące u siebie młodzież ze sfer wykształconych (nazwy nie podam) zwróciło się raz do mnie z prośbą o odczyty treści religijnej. Jednak prezes tego stowarzyszenia uważał za konieczne zrobić następujące zastrzeżenie: „Bardzo proszę księdza nie poruszać w swych odczytach momentów wkraczających w etykę.“ — „Dlaczego?“ — pytam. „Bo to wymaga konsekwencji życio-

wej a to odstrasza członków i od stowarzyszenia i od brania udziału w zebraniach.“

Więc ci panowie chcieli upajać się Ewangelją jak Chińczycy opjumi, chcieli marzyć i majaczyć a życie zostawić odłogiem.

Takiej Ewangelji, któraby dawała przyjemność tylko fantazji, niema.

To jest tragedia życia, zwłaszcza u nas Polaków, że szukamy wszędzie zewnętrznego zadowolenia estetyki, a boimy się czynu, dlatego brak nam w życiu Chrystusowej etyki.

Nie umiemy, raczej boimy się, zajechać na głębię życia. stąd ciągła powierzchowność i sprzeczność Wiary z życiem.

A co Chrystus sądzi o takiej Wierze?

Otwórzmy Pismo św. i przeczytajmy tam przypowieść wygłoszoną przez Samego Pana Jezusa o dziesięciu pannach.

Były to aż oblubienice i to Samego Pana Jezusa, a więc w dzisiejszym języku zakonnice, które zamkły serce dla świata, by je oddać dla Chrystusa.

Przyszedł czas godów, czyli ucztyniebiańskiej, boskiej, która nie ma odpowiednika w żadnych, nawet w najradośniejszych ucztach ziemskich, bo tam Bóg ucztę obmyśla i Bóg przyjmuje.

Dziesięć panien ma brać udział w tych boskich godach.

Oblubieniec nadchodzi, pięć panien przezornych zapala natychmiast lampy i ze śpiewem na ustach wybiega radośnie na spotkanie Oblubieńca.

Pięć panien głupich dopiero teraz nagle zauważa, że ich lampy nie chcą się zapalić, bo w nich brak oliwy. Biegna więc coperędzej za przezornymi i proszą o pożyczenie oliwy, jednak tamte nie mają czasu, gdyż towarzyszą Oblubieńcowi i nim całkowicie są zajęte.

Pędzą głupie panny do miasta, ale w mieście już wszyscy śpią, sklepy zamknięte. Wracają do domu, w którym odbywają się gody i zastają drzwi zamknięte.

Na zewnątrz słyhać radosny rozgwar, cudne pienia i muzykę.

Głupie panny trzymają w jednej ręce puste lampy a drugą coraz silniej i natarczywiej pukają do drzwi, wołając głośno: „Panie, Panie, otwórz nam!“

Przez zamknięte drzwi słyszą jako odpowiedź stanowcze i surowe zdanie Oblubieńca: „Nie znam was.“

Tak jest Chrystus stanowczy i surowy, gdy się spotka z Wiarą bez uczynków.

Miały głupie panny lampy, czyli Wiarę, ale te lampy nie świeciły.

Zapomniały biedne, głupie panny o powiedzeniu Oblubieńca: „Niech świeci światłość wasza, niech widzą wasze dobre uczynki.....“

Nie wystarczy więc chodzić za Jezusem i stale trwać w Jego towarzystwie, zachwycać się Jego naukami, przytakiwać tylko — a trwać w dalszym ciągu w nałogach, zaniedbując życie z Wiary.

Takie postępowanie za Jezusem to droga, która prowadzi wprost do piekła.

Niech to zilustruje nowa przypowieść z Ewangelji.

Pewien pan, udając się w daleką podróż, zawezwał swoje sługi i rozdzielił między nich pieniądze, by nimi obracali.

Kiedy powrócił z podróży, wzywa sługi dla zdania rachunku.

Pierwszy wręcza panu dwadzieścia grzywien, czyli podwojoną sumę; dostał dziesięć a przez pracę uzyskał drugie dziesięć. Zato mianuje go pan przełożonym całego majątku swego.

Drugi oddaje panu piętnaście grzywien, gdyż trudno było mu podwoić sumę; zarobił tylko pięć.

Zbliża się trzeci, sługa. Ten, oparłszy się na ludzkiej przezorności i roztropności, miał ulokować pieniądze w banku czy pożyczyć komu na procenta, co może dać dochody, ale też może narazić i na zupełną stratę, bo bank może zbankrutować, wierzyciel ogłosić niewypłacalność, umyślił sobie, że najlepiej zrobi, gdy pieniądze owinie starannie i zakopie w najskrytszem miejscu, by ich nikt nie znalazł. Tak też uczynił.

Teraz, gdy pan wrócił, przynosi mu nietknięte pieniądze, mówiąc: „Panie, oto pieniądze twoje; wiem, iżeś człowiek srogi..... bałem się ciebie, więc zachowałem je w chuście.“

Słuchajmy, jak Jezus ocenia taką cnotę roztropności: „Sługo niewierny i gnuśny, z twych własnych ust cię osadzę. Weźcie od niego grzywny i dajcie temu, co ma dwadzieścia a niepożytecznego sługę rzućcie gdzie jest płacz i zgrzytanie zębów.“

Czyż może być silniejszy obraz nad ten, jak Wiara nawet najgłębiej i najtroskliwiej na dnie serca przechowywana a niepraktykowana w uczynkach — prowadzi do potępienia?

Wiara, to największy skarb, jaki nam Jezus przyniósł na ziemię. Dla dania nam tego skarbu Jezus aż niebo opuścił, wyrzekł się wszelkich bogactw i wygod na ziemi, własną krwią ten skarb oblał, śmierć poniósł, by nam go na wieki zdobyć.

Zatem tak wielkiej ceny skarbu nie wolno zakopywać i gnuśnieć w bezczynności, chyba, że większą powagę ma dla nas Luter, który twierdzi błuźnierczo, że sama Wiara nas zbawi.

„Dlaczego wzywacie Mnie „Panie, Panie“ — a nie czynicie tego, co mówię?“ — woła Jezus.

Jeśli kiedy, to dziś trzeba świecić dobremi uczynkami, gdy świat zalewa gehenna zła.

Pewnie, że życie czynne, życie z Wiary, a więc praca społeczna za przykładem Jezusa wykonywana, naraża na wiele niebezpieczeństw i prześladowań, co zresztą Jezus przewidział, mówiąc: „Mnie prześladowali i was prześladować będą“, ale też dodał: „Ufajcie, Jam zwyciężył świat“.

A czy zwycięstwo odniesie się bez walki?

Kto podwaja Wiarę, czyli do cnoty Wiary dodaje czyny, ten zyskuje więcej, niż pomnożenie Wiary, tak jak ów pierwszy sługa, który pracą podwoił grzywny, nietylko dostał grzywnę odebraną trzeciemu, ale stał się rządcą całego domu i majątku Pana.

Pan Bóg umie być nawet rozrzutny w nagrodzie, ale tam, gdzie widzi Wiarę w czynie i pracy.

Ten, kto żadnym czynem cnoty Wiary nie zbogał, straci wszystko, jak ów trzeci sługa ewangeliczny.

X. J. Cz.



Legitymacja do nieba.

Co na sądzie Bożym zadecyduje o naszym zbawieniu lub potępieniu? Otwórzmy Pismo święte i przeczytajmy uważnie słowa Pana Jezusa a zobaczymy, że do nieba prowadzą tylko same czyny i to czyny miłosierdzia.

„Pójdźcie, błogosławieni Ojca Mojego: Otrzymacie królestwo, zgotowane wam od założenia świata: albowiem łaknąłem, a daliście Mi jeść, pragnąłem a napoiście Mnie, byłem gościem a przyjęliście Mnie, nagim a przyodzialiście Mnie, chorym a nawiedziliście Mnie.....“ (Tak dosłownie wygląda program życia katolickiego, ułożony przez Samego Pana Jezusa czyli Chrystus domaga się pracy społecznej.)

Zdumienie ogarnia wybranych tak, że wołają: „Panie, kiedyż my Cię widzieli głodnym..... nagim..... chorym.....“

„Coście tym najmniejszym uczynili, Mnieście uczynili.“

Pan Jezus, choć wstąpił do nieba, jednak przebywa wśród nas w *potrójnej postaci*: w Najświętszym Sakramencie Ołtarza, w osobie Ojca św. i w postaci najbiedniejszych (małuczkich). „Coście tym najmniejszym uczynili, Mnieście uczynili.“

Choćbyśmy najsilniej wierzyli w pierwsze dwie obecności a zapomnieli o trzeciej, nie zdobędziemy nieba. Zbyt silnie potwierdzają to słowa Chrystusa, jakie skieruje do potępionych: „Idźcie precz, przekleci, w ogień wieczny....“

A za co?

„Albowiem byłem głodny a nie daliście Mi jeść, pragnąłem a nie napoiście Mię....“ „Coście tym najmniejszym uczynili, Mnieście uczynili.“

Nie są prawdziwe i z Wiary nasze Komunje św., rozmyślania, rekolekcje, czy bractwa, jeśli nie nauczyły nas kochać Jezusa, obecnego pod postacią biednych.

Pamiętajmy, że gdy odtrącamy biednego od drzwi, odtrącamy Boga Samego, gdy krzywdzimy małuczkich, krzywdzimy Boga Samego.

A iluż to takich chrześcijan, co nawet po gazetach upominają się o prawa dla biednych, jaskrawo opisują ich nędzę i ciężki los życia, a gdy do nich przyjdzie biedak czy sierota i chwalać Jezusa prosi o zasiłek, pokazuje się mu wywieszkę umieszczoną przy drzwiach wchodowych: „Zebrałom wstęp wzbroniony“. Niechże taki chrześcijanin dopisze niżej: „Jezusowi wstęp wzbroniony“. — „Coście tym najmniejszym uczynili, Mnieście uczynili.“

Iluż to „poświęcających się“ po wielkich miastach kweście ulicznej z kwiatkami, karteczkami, niby dla ulżenia biednym i potrzebującym, kradnie potem tysiące z ofiar zebranych? — Chrześcijanie katolicy, nie zapominajcie powiedzenia Pisma św., że ręka splamiona krzywdą bliźniego nie otworzy bram nieba.

Bóg od nas zasiłków nie potrzebuje, ale zostawił nam biednych, byśmy Mu przez nich miłość pokazali. Lepsza jest jałmużna dana biedakowi, niż najwspanialsza świątynia czy monstrancja ufundowana dla Boga, bo i świątynia i monstrancja po końcu świata zostaną na ziemi, a człowiek, ten drugi Chrystus, jest przeznaczony do nieba.

Kto kocha Boga Ojca, ten i dzieci Jego kochać winien. „Coście tym najmniejszym uczynili....“

Kto poświęca choćby odrobinę życia czy majątku dla ulżenia niedoli biednych, ten ma zapewnione zbawienie.

Nawet za szklanek wody, biednemu podaną w Imię Jezusa, mamy przyrzeczone niebo.

A ileż to okazji mamy w dzisiejszych czasach na praktykowanie czynów miłosierdzia, gdy tyle biedy?...

Możemy umieć na pamięć całe Pismo święte, ale jeśli zaniedbamy życie według Ewangelji, to prędzej się potępimy, niż ci, co Pisma św. nie czytają, bo mówi Jezus: „Toteż powiadam wam, że dla Wiary przyjdą poganie i zasiądą w Królestwie niebieskim a synowie Izraela będą potępieni.“ „Komu więcej dano, więcej od niego żądać będą.“

„Jeśliby kto tylko słuchał słów Moich, a nie strzegł ich (nie żył według nich), Ja go sądzić nie będę, ale słowa, które Ja mówiłem, one go sądzić będą w dzień ostateczny.“

A czy na to dał nam Jezus tę prześliczną Ewangelję czyli „Dobrą Nowinę“, by nam piekło przyniosła?

A przyniesie wtedy, gdy będziemy tylko pasożytami, leniwymi sługami, słuchaczami a nie czynicielami.

* * *

Przypomnijmy sobie jeszcze przerażającą historję drzewa figowego z Ewangelji.

Pewnego poranku, a było to około Paschy, Jezus, wracając z Betanji, był głodny.

Podchodzi do drzewa figowego i nie znajduje na niem nic prócz liści. Oburzony przeklina drzewo, mówiąc: „Niechaj nigdy nie rodzi się z ciebie owoc na wieki“. I natychmiast uschła figa.

Zdrowe było to drzewo, bo miało piękne, zielone liście mięsiste, bujne, ale liście z figi nie są jadalne, tylko owoc, ale owocu nie znalazł Jezus, więc przeklął figę.

To czeka te dusze, które pełne Wiary mają zdrową duszę, zwłaszcza gdy zasilają ją często Sakramentami i Krwią Jezusa, a owoców, jakich Jezus domaga się, nie wydają.

Dla samych liści nikt drzew owocowych nie pielęgnuje w ogrodzie, tak samo Jezus nie wsadzi do niebiańskiego ogrodu tych, którzy czynów z Wiary nie wydają.

Powiada legenda, że Judasz powiesił się na owej uschniętej fidze, rażonej przekleństwem Pana Jezusa.

Syn zatracenia skończył życie na przekletem drzewie za to, że także żadnych owoców nie wydał, choć Sam Jezus go pielęgnował i uczył życia z Wiary.

Gdyby tak teraz Pan Bóg zarządził nagle koniec świata, a Jezus stanął przed nami z Ewangelją i przewracając kartę po karcie, przeglądał życie nasze nas Chrześcijan, drugich Chrystusów... Jakby ten sąd wypadł?

Może musielibyśmy wołać: „Góry, pagórki przykryjcie nas!“ — jak wołać będą potępieńcy na Sądzie Ostatecznym...

Chcielibyśmy wtedy wrócić na ziemię, żeby wszystko odrobić i poprawić, lecz po Sądzie Ostatecznym to będzie niemożliwe.

Zróbmy to więc teraz, kiedy możemy wszystko odrobić i poprawić.

Zróbmy sobie przegląd życia podług Ewangelji, lub przynajmniej jeden dzień skontrolujmy, czy jest zgodny z zasadami Chrystusa, czy wynika z naszej Wiary.

„Chrześcijanin, Chrześcijanka — to drugi Chrystus.“

Jakie są słowa nasze, czyny, pragnienia, postęпки?

Jak Chrystus zaczynał dzień a jak my zaczynamy?

Jak postępujemy przez dzień z Bogiem, z bliźnimi, ze sobą?

Jak spełniamy obowiązki ojca, matki, syna, córki, urzędnika, podwładnego, pracownika?

Czyby Chrystus tak dom prowadził, jak my prowadzimy?

Jakiego najchętniej towarzystwa szukamy?

Jakby Chrystus ubierał się, według jakiej mody?

Jakieby książki czytał? Jakie obrazy w domu przechowywał? Na jakie zabawy uczęszczałby i gdzie?

Gdzie i w jakim towarzystwie święta spędzał, i jak je spędzał?

Jakby Sakrament małżeństwa traktował?... Co o rozwodach sądzi i mówi?

Jak się do Wiary i Kościoła odnosić każe? „Kto was słucha Mnie słucha, kto wami gardzi Mną gardzi.“

Co sądzi Jezus o tak zwanym dualizmie etycznym, który twierdzi, że inna etyka obowiązuje w życiu prywatnym a inna w politycznym?

Czy Jezus zgodziłby się na dwie etyki, inną w życiu prywatnym a inną w publicznym?

Czy Jezus wstydziliby się publicznego wystąpienia w obronie zasad katolickich?

Czy Jezus pozwalałby sobie na żarty z Wiary lub na bluźnierstwa dla pokazania „postępowości“?

Jakby Chrystus odnosił się do spirytyzmu, teozofji, astrologji, wróżbiarstwa, zabobonnych przesądów?

Jakby Chrystus odnosił się do własnej ojczyzny, jakim byłby obywatelem?...

Jakby odnosił się do podwładnych w biurze, do pracowników w warsztatach, do służby domowej?

Jakby Chrystus wynagradzał za pracę? Jakaby pensję sobie ustanawiał a jaką innym?

„Chrześcijanin, Chrześcijanka — to drugi Chrystus...”

Nie znać świeckich form towarzyskich, nie iść za najnowsza modą, nie umieć najnowszych tańców i szlagierów, to zacołanie... to grzech nie do wybaczenia.

Ale nie znać mody Chrystusowej, nie przeczytać nigdy całej Ewangelji, tylko poprzestawać na tem, co się z religji ze szkoły wyniosło za młodocianych lat i to piąte przez dziesiąte... to bagatela...

Nic więc dziwnego, że wśród katolików, tych drugich Chrystusów, taki obskurantyzm religijny, że w ich pojęciu można „kupić” Mszę świętą, że Msza św. a nieszpory to jedno, że ślub cywilny to samo co religijny.

Stąd to u nas takie karykaturalne charaktery, że życie religijne polega u nas na ciągłej sprzeczności z Wiarą.

Może i modlimy się „Ojczy nasz, Który jesteś w niebie“, powtarzamy i umiemy Przykazania Boże, ale potem, by nigdy nie postępować tak, jak winno postępować dziecko Boże, stale być wyrodnym synem, córką, by ciągle walczyć z Przykazaniami Bożemi.

To też Pan Bóg, słuchając takiej modlitwy, może słusznie odezwać się, jak Izaak do Jakóba: „Głos ci wprowadzie Jakóba, ale ręce Ezawa.“

Słowa słodkie, ale czyny straszne....

Patrzając na życie niektórych katolików, drugich Chrystusów, ma się wrażenie, że zasadą ich życia to umowa, jaką zawarł Abraham z Lotem: „Jeśli ty pójdziesz na lewo, to ja na prawo, gdy ty na północ, to ja na południe.“

Niektórzy katolicy po to mówią pacierz i Przykazania Boże powtarzają, by nigdy według nich nie postępować.

Ale winien tu i system nauczania religji po naszych szkołach, gdzie stale takie pytania zadaje się małym dzieciom: „Jakie są grzechy przeciw temu lub innemu Przykazaniu Bożemu?“

Czyli od zarania życia wpaja się w duszę dziecka pojęcie, że gdy się spotka z Przykazaniami Bożemi, to nie na to, by się dowiedzieć, „jakich cnót“ to Przykazanie naucza, ale jakie grzechy to Przykazanie ma w nas wynajdywać. Czy to nie zabijanie młodych serc?

* * *

I oto tacy ludzie, których niemal zasadą życia jest. być w stałym konflikcie z nakazami Bożemi, ci ludzie mają najwięcej pretensyj do Pana Boga, że ich nie wysłuchuje, że im cudów odmawia.. a oni aż nowenny odprawiają...

„Wiara bez uczynków martwa jest“, i gdyby Bóg dla takich ludzi cuda czynił, to chyba potwierdzałby ich luterzańskie zasady życia, a to niemożliwe...

„Wierzysz — dobrze czynisz“, powiada Pismo święte, ale dodaje znamienne słowa: „ale i czarci wierzą i drżą“.

Czart, który był w niebie, ma większą wiarę niż my, ale cała tragedia jego losu w tem, że już według tej wiary żyć nie może, bo jest w piekle.

I my, którzy wyznajemy Wiarę, ale czynów z niej nie pełniemy, budujemy sobie tylko piekło.

Skończmy z tą sprzecznością życia z Wiara, zacznijmy być chrześcijanami nie z metryki, nie z nazwy, ale z życia, z czynów.

X. J. Cz.



Hałda.*)

Słońce wyszło z lasu, jakoby ogromne kolisko, czerwone całe, niby krwią purpurową i zarzuciło smugę różowego płaszcza na kołyszące się leniwie szczyty drzew. Zalatywało wokoło surowym zapachem rosy, co oblała łzawliwymi perełkami drżące listeczki ciemnej koniczyny. Jakieś czarowne, za serce chwytające upojenie zatoczyło się po zagonach pól; rozlała się nasenna woń kwiatów polnych, rozchylających swoje kielichy w pragnieniu ciepłego ogrzania pierwszemi promieniami zwolna wyłaniającego się słońca; roztoczyła się ostra woń żywicy, gnana z lasu napędem rannego podmuchu wiatru; kłębiły się, jak dymne pióropusze kadzideł, błękitne mgły odziewające lekko ziemię, budzącą się ze snu; falowały dojrzewające zboża, jakoby głądzone miłośnie niewidzialną ręką, skłaniały swe kłosa w kornym ukłonie — z lekka wiatr je pieścił — zagłębiał się w szumiące łany, pochylał je, to znowu unosił...

Z dala od pól, zbóż, lasów spokojnych, cichych, uroczych, dyszały huty cynkowe zawziętym szumem swej potęgi, ognia, żrącego czadu, dymu buchającego z kominów niebostrzelistym pociskiem czarnego kłębowiska. One nie znają dnia i nocy. — Hałdy dymiące świadczą o ciągłej pracy, pełnej grozy śmierci... rozlegały się trzaski motorów, brzęk metalu, gwizdy lokomotyw, dudnienie i szum, szum...

Jakby szponami żelaznymi wpiła się kopalnia w ziemię ruchomą paszczką wydobywała chciwie skarby z jej łona, przy

*) Uspisko — nagromadzenie żużli, odpadków i popiołu.

wtórze zgrzytu, przetaczania wagonów i syku pary... Koła czarne wirowały w szalonych podrygach i żuły pracę twardych rąk ludzkich — a owoce ich pracy ciężkiej sypały w czekające wagony...

I dwa te odmienne światy wnet oblało słońce, karmiąc pola życiem i blaskiem radości...

Obok huty widnieje czarne, niby paszcza piekła, niby kocioł martwy — wyrwisko, ogrodzone rdzawą liną, przybita na krzywych palach, wśród których sterczy słup z tablicą i czaszką trupa ze skrzyżnionymi piszczelami i napisem niezdatnym, białym na czarnem tle: „Uwaga! Grozi śmiercią! Nie zbliżać się!”

A jednak ten kocioł śmierci żył pracą ludzi, których twardy los gnał w jego głębie. Znaleźli tu coś dla siebie, — węgiel — wygrzebywali chleb dla siebie i dla swoich, szukali odpadków, za które jeszcze parę groszy płacą inni...

Zbliżali się z obawą, bo nieostrożny ruch spowodowałby niechybną śmierć, groziłby zasypaniem skiby czarnej ziemi, wiszącej groźnie w powietrzu bez podpory nad jamami, w które wgrzebywały się ich ręce, wydzierające stąd węgiel...

Stanąła kobieta w łachmanach, ciągnąc zużyty, skrzypiący wózek o czterech chybiących się kółkach, w którym wiozła skarb i pociechę swoich czarnych i ciężkich dni — dziecko. Oczy jej biegły pod wieś, tonęły w kłębowisku pracy zawziętej a nieubłaganej, przerzuciły się w las szumiący, w pola radością zasłane i poczuła ogromną tęsknotę za lepszymi czasami.

Skowronek wzbijał się pod jasne niebo i śpiewał, śpiewał...

Spojrzała raz jeszcze wokoło, rzuciła okiem na wózek, z którego uśmiecha się dziecięca, blada twarzyczka, o czuprynie jasnej i roześmianych oczętach Karolka. Rączęta małe uczepiły się brzegów wózka a potem wyciągnęły się błagalnie ku matce.

— Mamulicko, jo ca wyleźć...

— Cicho, ty słodki mój zbereźniku, zaroz wyleziesz, ino zoboca, cy nima nikogo... Bo te policjany łażą tyż tam, kaj ich nie trza...

Zoczył skowronka, śpiewającego pod niebem...

— Mamo, co to ptoшек, co tak fajnie śpiwo?...

— To jest skowronecek...

— A po jakiemu on sie tak rozdziro?...

— Widzisz, synecku, on Pan-Jezuska chwoli i sie modli...

— To jo lepi poradza, pra?...

— Nie wiem... Może tyż i ni, bo tako ptaszyna casem Panu Bogu milejszo jest, niżli ludzie...

— A po jakiemu?...

— No, bo... Ale co ci byda godała, w doma ci powiem, teraz trza iść wagle kopać!... Siedź lepiej we wózku, bo zlecieć możesz do zapadliska i sie zabić...

— Ni, mamulicko... jo byda cicho siedzioł... i kwiotki rwoł... — prosił Karolek.

Wyciągnęła go matka, twardą dłonią pogładziła kędzierzawą główkę, a wskazawszy mu miejsce, na którym ma się bawić, ucałowała blade policzki, a potem oglądając się jeszcze, zesła ostrożnie w wyrwisko zdradliwe z kopaczką i workiem.

Karolek tymczasem patrzył w błękity, uganiał wzrokiem za ptaszyną, co pod niebo wleciała, aby Panu Jezusowi słać modlitwy, jeszcze lepsze od jego szczebiotliwego pacierza. W małej główce przelewały się myśli dziecięce, proste — bo jakże! Matka mu mówi, że ta ptaszyna lepiej się modli. A on przecież codzień rano i wieczór prosi Jezuską małego, co to z obrazu nad jego łóżeczkiem na niego patrzy z tak słodkim uśmiechem, jakoby do kamrata serdecznego, prosi o zdrowie dla matuli, która ciężko na ten chleb się troszczyć musi, za duszę tatula się modli, co go w kopalni zasulo, za siebie i za wszystkich, za których mu się tylko matula modlić kazała...

I zastanawia się Karolek nad tem, a pojąć nie może, żeby jego modlitwy miały mniej znaczenia u dobrego Pana Boga, o którym tyle słyszał od matuli, niżli to śpiewanie skowronka...

Aż wreszcie dał spokój rozmyślaniom, bo ptaszyna spadła jak kamień w pole i ucichła, a chłopak zajął się rwaniem kwiatków, co krasą swych barw rozścielały się na trawie niskiej.

I było mu dobrze w tej chwili...

Zapomniał o wszystkim, o matuli, co w wyrwisku węgle kopie, o ptaszynie, co tak ładnie przed chwilą śpiewała — nie słyszał gwizdów, huku, szumu, które z echem tu leciały z dala...

Miło mu było na słonku, cieszył go każdy kwiatek, każda trawka, naginana lekkim podmuchem wiatru.

Nawet gdy głuchy, nagły łoskot spadającej ziemi rozdarł ciszę a przytłumiony czemś nagle okrzyk przerażenia, śmiertelnej rozpacz i trwogi wydobyl się jakby z pod ziemi — uszło to uwadze Karolka.

Pochłoneły go kwiatki, przesłodka woń niedalekiego lasu i słonko...

Dziwiła go długa nieobecność matki — ale gdy głos wołania uszedł bez odpowiedzi, bawił się dalej...

Nagle oczy jego spoczęły na czyjś butach — podniósł wzrok i pełen przestachu zawołał z całej siły swych wątych piersi:

— Mamo!... policjun!... wylazujcie!...

Zerwał się, chciał biec ku wyrwisku, lecz dłoń policjanta wstrzymała go.

— Gdzie twoja matka?

— O panie... matka wągło nie kopie... bo... bo... ona wi, że to nie wolno... poszła... poszła...

I szloch gwałtowny wstrząsnął Karolkiem.

Piąstki przytknął do oczu i płaczem z serca błagał o litość.

Policjant spostrzegłszy świeży ślad urwanej ziemi, skokiem znalazł się w dolinie.

A Karolek płakał...

Łzy ciężkie lały się strumieniem po wynędzniałej, bladej twarzyczce, ryły sobie drogę ku samej ziemi...

Usta coś gorączkowo szeptały, jakoby modlitwę, jakoby błaganie, a serce łopotało się w wpadłych piersiach, jakby ptak zraniony...

— Mamulicko moja złoto... łapnie cie policjun... O Jezusińku mój...

I znowu gwałtowny szloch, bolesna skarga dziecka, świadomego krzywdy, jaką zamierzają wyrządzić jego matce.

— A przeca my chleba nie bydymy mieć... panie polic... Urwał...

Z głębi hałdy wyłoniła się postać policjanta, dźwigającego coś z wysiłkiem na ramieniu... co to być mogło?...

Łzy przesłaniały mu oczy, przetarł je skrajem rękawa... i nagle poznał...

— Jezulińku mój złoty... to... to ma... mamulicko... a mamo...

Poznał w tym zwisającym bezwładnie ciężarze — matkę...

Ręce, nogi jak wahadła, głowa odchylona gwałtownie w tył...

Policjant złożył ciało na trawie i zastosował sztuczne oddechanie. Pot wystąpił mu na czoło, siły opuszczały go zwolna przy tem zmaganiu się z ofiarą śmierci...

Bez skutku. Cicho leżała matka Karolka na murawie zielonej — uśmiechnięta, z pogodą jasną na zczerniałej twarzy...

A Karolek patrzył z szeroko otworzonymi oczami...

Zrazu nie mógł zrozumieć... poco to się robi...

Policjant wreszcie powstał, otarł pot z czoła i spojrzał ze współczuciem na niego...

— Biedne dziecko... — szepnął cicho.

Karolek wtedy zrozumiał...

Z rozpaczliwym okrzykiem, świadom swego opuszczenia, rzucił się na zimne zwłoki matki.

Mamulicko!... to jo!... Karolek... cy mnie nie znocie?...
O Jezu... Jezu...

Alfons Piotrowski.

Len.

Gdy chłodna jesień, poprzedniczka zimy, rdzawić zaczyna swoim tchnieniem kwiaty i zwiedłe liście już z gałęzi strąca, Najświętsza Panna przez nadziemskie światy płynie w obłokach, blaskiem promieniująca...

I wonczas niebu znów przybywa krasy; zda się, że słońko w letnią kolej wraca, spłowiałe łąki, poczerniałe lasy swoim spojrzeniem czarownem wyłaca.

Królowa niebios płynie, jako prządka i zamiast berła prostą kądziel trzyma; zanim z obłoków spadnie biała zima, Ona, jak macierz, dbała o dzieciątka, idzie policzyć duszyczki niebogi, co się pod Raju ogrodzeniem tulą i upatrują smutne jakiej drogi, aby do niego wcisnąć się ukradkiem i choć najlichszym wyrosnąć tam kwiatkiem.

Wstępu im bowiem do raju nie dają, jeśli pomarły nieochrzczone jeszcze i pierworodny grzech je dotąd plami; więc za rajskimi kulą się wrotami i drżące z zimna wyczekują łaski.

Dla nich to Marja, Pani litościwa, cienką nić przedzie, a z tego przedziwa anioły potem tkają giezła miękkie i rozwieszają one na błękitie, niby na polu płótna bieluteńkie, by zmarłe dziatki miały z nich okrycie.

Także sierotkom nagim, opuszczonym, Mateńka Boża swej pracy nie skąpi i w dnie jesienne na obłokach przedzie.

Więc drżącym dziatkom w zimie ciepło będzie...

Błogosławionas Ty, niebios Panienko, Pani litośna i litości wzorze!... gdy przez niebieskie przepływasz przestworze, by pracowicie snuć swą nitkę cienką, i widzisz z góry, z tronu obłocznego, że tu na ziemi serca niepamiętne na ludzką nędzę patrzą obojętne — Ty Miłosierna znieść nie możesz tego; zrywasz garść przedzy i rzucasz ją na dół, jak upomnienie swe na ziemski padół, a wiatr ją nosi w powietrzu i snuje, przed oczy ludzi zwija i rozwija i zda się splatać w tajemnicze głoski:

„Otom ja przedza samej Matki Boskiej!... dla biednych sierot snuję się z kądzieli, pomnijcie ludzie, byście litość mieli i tu sierotkom nie szczędzili serca!...“

I cienka nitka z zaziemskiego świata, co tam od nieba aż ku ziemi sięga, około ludzi sama się oplata i z sobą serca miłosierne sprzęga, a że Ją Matka Boska miała w ręce, więc jak talizman szczęścia z niebios spływa; — kogo się czepi choć cząstka przedziwa, ten polecony Najświętszej Paniencie w dniu onym z ducha pogodniejszym bywa: takiemu jedna choć chwila szczęśliwa zdarzyć się musi w ciągu doby całej.

Gdy babie lato uśmiechnie się światu, zaraz się jaśniej człowiekowi robi i wśród jesieni ma wiosenne złudy; zanim zimowe obsypią go grudy, raz jeszcze w słońcu rzeźwiejszy się czuje...

I tylko pajak swym się jadem truje, i patrzy w górę z zawiścią ukrytą, bo jego Pan Bóg skarał za zuchwałość, że taki mały miał tak wielką śmiałość Panience Świętej sprzeciwić się kiedyś i z grzeszną dumą miał rozgłaszać wszędzie, że on od Marji Panny cienie przedzie.

Za brzydką zawiść i za czelną pychę odtąd prowadzić musi życie liche, kryć się po kątach, mieszkać po ruinach i praść swą siatkę z marnego przedziwa, którą podmuchem lada wiatr rozrywa.

Niebiańska prządka, Pani wniebowzięta, o ludzkich sprawach na ziemi pamięta; umyślnie spuszcza długą nić z wrzeciona, kiedy jesienne rozpoczną się mroki, by gospodarnym przypomnieć niewiastom kądziel na długie zimowe wieczory i koło domu staranne zajęcia.

Więc gdy na pola pierwszy śnieg się zwali, po chatach ogień na kominach błyska, smolne łuczywo iskierkami pryska, a gdy się w płomień wesoły rozpali, w koło dziewczuchy przy kominie siedą i złote pieśni z szarą nicią przędą.

A między jedną piosenką a drugą, gdy dopalonych głowien żar przygaśnie, starsza praśniczka opowiada baśnie, to o Madeju z zbójceką maczugą, to o królownie czarami zakłętej, to o trzech braciach, co poszli na boje, a gdy wyprzedzie wszystkie bajki swoje, rzecze:

— A teraz o Panience Świętej powiem wam jedną powieść już prawdziwą, skąd mamy płótno i kto dał przedziwo.

Tu się przeżegna, jakby przed modlitwą, odepnie kądziel i wrzeciono składa i zasłuchanym dziewczkom opowiada:

— Widzicie, ludzie, stała w jednym siole chatynka mała pod lasem na dole; przy chatce sad był i ogrodu kawał.

Ogród warzywa, sad owoce dawał, a z czarnej roli biały chleb się rodził.

W chatce kmieć mieszkał, co za pługiem chodził, z żoną staruchą i córką dziewczuchą, i jakoś im ta — chwalić Pana Boga — nie bardzo ciężką była w wieczność droga.

Ale kmieć stary zachorzał obłożnie, bo zły wiatr jakiś na ziemię nim śmignął; jak legł w pościeli, tak się już nie dzwignął i gdy nie było na chleb orać komu, bieda i lament zagościły w domu. Odłogiem stała niezasiana rola, u drzwi i okien czyhała niedola.

Każdy dzień gorszy dla niebożat świtał...

Jedna dziewczucha nie traciła ducha i do Najświętszej modliła się rzewnie, rano i wieczór niebieskiej Królowie oddając ojców w opiekę i siebie.

— „Panie Przedwieczny, wszechmogący Boże, oto niegodna przed Twym tronem stoję, nie daj nam zmarnieć, święć się Imię Twoje!... ojca i matki lituj się starości, nie skąp im chleba swego powszedniego, Tyś Pan, Tyś Mocarz, Tyś jest Król światłości, źdźbło trawy nie schmie bez rozkazu Twego, bez wiedzy Twojej liść z drzewa nie spada, jeno się pierwej Tobie opowiada. Przecież Ty nie dasz, aby bez powodu ojcowie dziecku umierali z głodu! Oto ja, córka, za ich życie stoję... Bądź wola Twoja, przyjdź królestwo Twoje!...“

Tak się bywało naprasza dziewczucha, a Pan Bóg w niebie z Matką Boską słucha.

Raz — ci usnęła dziewczyna z północkska, przy chorym ojcu swoim czuwająca; aż tu jej we śnie schodzi Matka Boska i biała lilią dziewczuchę potrąca i rzecze do niej:

— Nie frasuj się dłużej, ja się żalości twojej ulituję i pocieszenie przyniosę ci w smutku. Spójrz, te kwiatki znajdziesz w swym ogródku jutro, gdy słońko zabłyśnie na niebie: modremi oczy popatrzą na ciebie, cienkimi prątki z ziemi się podniosą i świecić będą brylantową rosą. Narwij tych kwiatków dużo, dużo, dużo, a one tobie dobrze się przyślą i znajdziesz skarb w nich i będziesz bogata, i dobrodziejstwo weźmiesz z nich dla świata!...

Dziewucha patrzy i dziwi się wielce, a nie śmie przerwać Bożej Rodzicielce, i nie śmie spytać, jaki to pożytek dać mogą kwiatki z modremi oczyma, które Najświętsza w swojej dłoni trzyma.

Na drugie rano do ogródka bieży; patrzy i własnym oczom nie uwierzy...

Kędy ci spojrzy na wczorajsze grędy, drobnego kwiecica jakby nasiał wszędy; kwiatek maluchny a łodyżka długa kloni się do niej i jak żywe mruga, i zda się wołać: „A rwijże mnie żywo, jako ci Matka Najświętsza kazała!...“

Ale dziewczyna osłupiona stała, patrząc na takie niepojęte dziwo i załamała ręce, i w płacz!...

— Boże, Boże, a któż mi biednej radą dopomoże!... mam ci ja skarby pono z łaski nieba, a nie wiem, jak się zabrać do nich trzeba.

I przepłakała cały dzionek prawie.

Nocą w komorze usnęła na ławie i niby śpi to, niby jeszcze czuwa...

Naraz — o Jezu! — widzi, jak do chaty przyleciał anioł śliczniutki, skrzydlaty, a za nim drugi, a za drugim trzeci, i czwarty, piąty, i dziesiąty leci, i pełna izba robi się aniołów;

naprzynosili jakichś kólek, stołów, nicianych motków, przędzy, kołowrotek i nuż się krzątać, nuż warsztat zakładać.

W mig ustawili wszystko, jak należy, a wtedy w proggu u otwartych dźwierzy stanęła sama Przczysta i rzeknie, rzuciwszy okiem pilnie na wsze strony:

— Bóg z wami!... niechaj będzie pochwalony!...

A aniołowie odrzekli:

— Na wieki!...

Potem Najświętsza, co króluje światu, podeszła zwołna sama do warsztatu i tym aniołom, co koło Niej stali — kazała, aby płótno przy Niej tkali i przywołała dziewczynę i mówi:

— Patrzaj ty jeno i uważaj sobie, jako ja pasma z onych nitek robię!

I sama nitkę zadzierzgnawszy cienką, wraz po warsztacie puściła czółenko i tkała cudne płótno przy dziewczusze, ucząc ją tkactwa paluszkami swemi.

Dziewczyna przy Niej ukłękła na ziemi, rączki złożyła niby mówiąc pacierz, a nad nią jaśni stali aniołowie...

Więc jako córę swoją uczy macierz, tak Matka Boża uczyła dziewczynę, jak ma hodować tę wiotką roślinę, co modro kwitnie, a co lnem się zowie, jak ma ją potem przerabiać na przędę a z przędzy płótno tkać równe i białe, by niem okrywać z chłodu drżącą nędzę...

Całą noc w kwiecej przesiedziała chacie litosna Pani w swoim majestacie i aż nad ranem, gdy zapiały kury, z swoją asystą wzniosła się do góry; dziewczyna skromnie na klęczkach została, jako lilijka pochyłona biała, a że z niej córka na wzór innym była, z pierwszego płótna, co sama utkała, ojcu i matce koszule uszyła.

Bóg błogosławił dziewczęcej robocie — robiła płótno, a chodziła w złocie...

(Legendy Gawałewicza „Królowa Niebios“.)

Harfista z Sorentu.*)

Słońce gorącemi promieniami ogrzewało normandzkie pola. Dwaj wędrujący muzykanci z Włoch przybyli do Francji. Około dwunastu do trzynastu lat liczący, jeden z gitarą, drugi niosąc stara pokrzywiona harfe, postępowali kretą drogą między łąkami do wioski Dornfront prowadząca. Góry i ciemiste lasy, wioski z kościołami i szpicastemi dzwonicami,

*) „Kochajmy Marię“ str. 295.

folwarki ogrodami i owocowemi drzewami otoczone, uwagę młodych podróżnych zwracały.

— Dziwny kraj! — rzekł jeden z nich.

— Wcale niepodobny do piemonckiej płaszczyny, gdzie się urodziłem, — odpowiedział drugi. — Tam mamy jeziora, w których się drzewa oliwne i migdałowe przegładają; mamy wysokie góry śniegiem i lodem pokryte, śliczny widok Gennaro!

— Nie tak piękny jednak jak nasza Neapolitańska zatoka. — zawołał harfista.

— Cóż to! myślałem, żeś się w Sorento urodził?

— Tak jest, ale wioska Sorento leży na wybrzeżach zatoki, przy której Neapol wznosi swe białe domy, swe marmurowe pałace, swoje kościoły, wieże i dzwonnice. Kiedyś z chatki moich rodziców na ten śliczny krajobraz oglądałem, prawdziwie byłem szczęśliwy! Tędy, jakże mi smutno, że mój kraj opuścić musiałem! Ale trzeba było na chleb dla młodszego rodzeństwa zarabiać, a dla nich wszędzie cierpienia są mi znosne.

Tony złośliwie się uśmiechnął.

— Bo ja bym się nie ofiarował cierpieć dla drugich. Jeżeli przyszedłem do Francji, to z mojej własnej ochoty. Nasi bracia i siostry, kiedy chcą mieć chleb, niech zarabiają jak i my.

— Ja nie jestem tak okrutny, żebym od moich braci i sióstr tego wymagał — odrzekł Gennaro — zresztą są to małe dzieci, one mnie jednego mają, bo nasi rodzice pomarli, to mój obowiązek dla nich pracować, a to mi siły i odwagi dodaje.

— Bardzo ciebie żałuję — mruknął Tony szyderczo.

W tejże chwili dzwon kościelny przyległej wioski na Anioł Pański zadzwonił. Gennaro zdjął kapelusz, przeżegnał się i cicho a gorąco się modlił.

Tony ruszył ramionami.

— Ty zawsze swoją komedję odgrywasz — rzekł ponuro.

— Komedję, ty śmiesz to komedją nazywać, ach Tony, to tyś już nie chrześcijanin. Ten dzwon wzywa nas, żebyśmy się do Matki Boskiej modlili. Pozdrówmy Ja razem, Tony.

— Ja się nie modle — odrzekł malec z miną szyderczą, po swej gitarze brząkając. — Zresztą na cóż się zda modlitwa?

— Modlitwa pociesza, utrzymuje, odwagi dodaje. Chrześcijanin modląc się z wiara i ufnością podoba się Panu Bogu

i na nagrodę u niego zasługuje. Oto i w tej chwili proszę Matki Boskiej, żeby nademną czuwała i we wszystkich przygodach mię ratowała, modliłem się i za dusze rodziców moich. Zdaje mi się, że modlitwa moja wysłuchana, że Matka Boska i rodzice moi z ognia czyścowego wybawieni, czuwać nademną będą i od wszelkiego złego mnie obronia.

— Tyś warjat — zawołał Tony. — Umarli są prawdziwie umarłymi i nic dla nas czynić nie mogą.

Gennaro zwrócił się do swego młodego towarzysza i głosem stanowczym rzekł do niego:

— Tony, twoja bezbożność jest dla mnie nieznośną!

— Mniejsza o to Gennaro!

— Nie chcę mieć takiego towarzysza podróży, rozstańmy się.

— Czy to na serio mówisz Gennaro?

— Bardzo na serio, Tony.

— Jak ci się podoba, więc rozstawszy się, zobaczymy jaką będzie nasza dola. Twoi opiekunowie pewnie ci szczęście dadzą. Rychło będziesz miał tego dowody, Gennaro, mogę ci to przepowiedzieć.

To wyrzekłszy jakimś dziwnym głosem, rzucił na towarzysza złośliwe wejrzenie i oddalił się.

Gennaro trochę tą sceną wzruszony, położywszy swoją harfę na trawie przy drodze, usiadł pod drzewem; długo siedział zamyślony, nareszcie zmęczony drogą, znużony upałem, oparł się o drzewo i zasnął.

Co czynił tymczasem Tony? Złośliwy chłopiec rozjątrzony wymówkami swego towarzysza, przejął się nienawiścią ku niemu i zemścić się postanowił.

Jakąż będzie jego zemsta? Bujna jego wyobraźnia wiele mu sposobów podawała, nie wiedział tylko co miał wybrać.

Zdruzgotać harfę Gennara, ukraść trochę pieniędzy, jakie w swej oszczędności zebrał, zbić go samego, to wszystko było mu łatwo uczynić. Jeszcze się namyślał, gdy nagle krzyknął z radości.

Wiem co zrobię, mówił do siebie — niegodziwca jak złodzieja do więzienia wezmą. A ja będę się śmiał.

Z radością zatarł sobie ręce i ukrył się w rowie przy drodze. Na bliskim płocie spostrzegł bieliznę, którą praczki na słońcu powiesiły. Koszulka dziecinna z cienkiego płótna zwróciła jego uwagę; porwał ją zrećźnie i, zbliżając się ciutko do śpiącego Gennara, do jego torebki włożył. Wszystko

to w jednej chwili wykonane było i Tony grając na swym instrumencie w dalsza puścił się drogę.

Przechodząc mimo praczek, z niewinna minka, począł swoje wierszyki śpiewać, gdy oto nagle gniewliwe krzyki śpiew mu przerwały.

Stara kobieta z zagniewaną twarzą rzuciła się na niego i porywając za kołnierz wołała:

— Otóż cie mam, mały ładaco, złodzieju nie uciekniesz odemnie. Zawołajcie tu Marcina, polnego strażnika.

Tony zbladł, jednakże, rychło przytomność odzyskawszy, rzekł:

— Cóż ja pani złego zrobiłem?

— Ukradłeś mi koszulę, złodzieju.

— Ja ukradłem? Bardzo się mylisz, moja pani.

— Nie mylę się, była to koszulka mojego Pawełka, tylko ty mogłeś ją porwać.

Tony wyprostował się z godnością i rzekł:

— Ja nie jestem złodziejem. Jestem wprawdzie ubogi, ale nigdy cudzego dobra nie zabrałem. Ja nic nie mam, tylko mój instrument: patrzajcie!

— On ma słuszość, biedny chłopiec — mówiły inne kobiety, które się zbliżyły.

— Dlatego, że m ubogi — mówił dalej Tony — to nie racja, żeby mnie o złodziejstwo oskarżać. Żeby twój syn, twój Pawełek tak po włoskiej ziemi chodził i żeby go podobnie oskarżono, cobys pani na to powiedziała.

— Mój Pawełek nie złodziej — przerwała stara kobieta. — Ale to dziwne, kto wiec ukradł?

— Ja nie wiem — odrzekł z miną tajemniczą.

— Musisz cokolwiek wiedzieć, mów, mów.

— Miałem towarzysza, ale to był ładaco i porzuciłem go. Zdaje mi się, że go dziś rano tu widział...

I zatrzymał się. Gruby głos męski obok niego przemówił; był to głos polnego strażnika.

— Ach! ach! malcze, twojego towarzysza oskarżasz?

— To i cóż, jeżeli on winien — odrzekł bezczelnie Tony.

— Zaraz będziemy to widzieli. Ja wiem, gdzie on jest, pójdźmy.

Strażnik Marcin był to silny starý żołnierz, wziął Tony za rękę i poprowadził ze sobą.

— Pójdźcie i wy ze mną — rzekł do praczek, będziemy się śmiali. Nie ten winien, kto się być winnym zdaje. Ale to moja rzecz.

Strażnik Marcin zdawał się być rozweselonym, co za-
intrygowało kobiety. Tak przeszli przez wioskę. Wieś nor-
mandzka w lipcu bardzo jest wesoła. Zwykle zamieszкана
przez rolników, tkaczy, ślusarzy, bardzo bywa w tym czasie
ożywiona. Ze wszystkich stron słyhać tylko huk młota o ko-
wadło albo skrzywienie piły o drzewo lub żelazo.

Na dziedzińcu kury i kaczki krzyczą, kurczęta piszczą,
koguty na śmieciach swe głośne kukuryku wyśpiewują, ko-
biety i młode dziewczki, siedząc na progu swych chat, ko-
szują albo pończochy robia, dzieci bawia się w piasku, śmieją
się i hałasują wesoło.

Na widok strażnika z małym więźniem idącego wszyscy
umilkli i ciekawi ze wszystkich stron się zbiegli. Wielu rze-
mieślników porzuciło młot i piłę i przyłączyli się do gromady,
ażeby się dowiedzieć o co rzecz idzie.

Tony zdawał się bardzo zakłopotany, ta gromada cie-
kawych nie podobała mu się widocznie. Chciałby się wyrwać
z rąk strażnika, ale ten uwolnić go nie myślał. Po dziesięciu
minutach przyszedli do śpiącego Gennara, który się nagle obudził.

— Oto złodziej, rzekł Tony do starej kobiety — koszula
musi być w jego torbie, możesz się przekonać.

Stara kobieta na torbeczke Gennara się rzuciła i wy-
ciągnęła z niej koszulę, która wszystkim pokazała.

— Otóż złodziej! zawołała — oddaję ci go strażnikowi
Marcinie, niech będzie przykładnie ukarany.

— Do więzienia złodzieja! wołały różne głosy z tłumu —
do więzienia!

Strażnik Marcin uśmiechnął się wesoło. Z podziwieniem
wszystkich więźnia swego nie wypuszczał.

Gennaro więcej zdziwiony niż przełknięty, patrzył na
tłum zebrany, pytając:

— Co to jest? O co mnie oskarżają?

— Oskarżają cię o kradzież — rzekł Marcin — bielizna
skradziona u ciebie jest znaleziona, co na to mówisz?

— Ale ja nic nie ukradłem — odpowiedział Gennaro
ze łzami w oczach — świadkiem mi Pan Bóg i Najświętsza
Matka Jego!

— Ach jaki kłamca! jaki bezczelny — wołano z tłumu —
trzeba go surowo ukarać.

I już groźne pięści nad głową chłopca się wznosiły. Gen-
naro w tem nieszczęściu polecał się Matce Bożej i duszom
czyśćcowym i modlitwa jego wysłuchana została.

Strażnik Marcin, zawsze spokojny, ręką nakazał milczenie i rzekł:

— Moi przyjaciele, znacie mnie od dwudziestu lat i wiecie, że nie nabożny. Otóż teraz byłem świadkiem pewnego wypadku, który mnie nawrócił.

— Tyś się nawrócił Marcinie — zawołali obecni — któż ten cud uczynił?

— Te błazny do tego się przyczyniły. Ale słuchajcie mnie do końca. Przed chwilą chodziłem po polu, pilnując zboża. Gdy obaczyłem tych małych Włochów, przyszło mi na myśl popilnować ich, dlatego skryłem się w trawie między krzakami i stamtąd mogłem słyszeć ich rozmowę. O! zaręczam wam, że była ona ciekawa, bo mi dała poznać historję ich życia. Gennaro, ten, którego wy o kradzież posadzacie, jest poczciwy mały sierota, przybył z Neapolu dla zarobienia kilku groszy dla swoich siostrzyczek i braciszków, żeby z głodu nie pomarli. Wierzy w Boga, kocha Matkę Boską i prosi ją, aby mu dopomagała i w nieszczęściu broniła. Modli się za swych zmarłych rodziców i od nich pomocy się spodziewa. Otóż moi przyjaciele, zaręczam wam ja stary żołnierz z pod Reichshofen i z pod Sedanu, że go nadzieja nie zawiodła. Sami osadzicie. Drugi Włoch, ten malec, którego trzymam, ten nie ma wiary. Nie wierzy w Boga i naśmiewa się z tych, co się modlą. Odpędzony od swego towarzysza, który nie chce z bezbożnikiem podróżować, z gniewem i z groźbą od niego się oddalił. Tkniety jakimś przeczuciem pilnowałem malca i widziałem, jak porwał koszulę Pawełka, i cicho jak wał pełzając do torby Gennara ją włożył. Żeby tam nie był i żeby wszystkiego nie widział, niewinny za winnego musiałby zapłacić.

— To prawda, zawołali obecni.

— Słusznie zatem mały Gennaro ufał Bogu i Matce Boskiej, że go od nieszczęścia obronią. Modlił się i modlitwa jego wysłuchana została, i ten właśnie wypadek nawrócił mnie, bo teraz wierzę, że Opatrzność Boska nami się opiekuje. A teraz trzeba złodzieja w ręce żandarmów oddać. Pójdźmy dalej w drogę.

Strażnik Marcin ze swoim więźniem oddalił się, gdy tymczasem obecni, jego opowiadaniem wzruszeni, hojnie groszaki do kapelusza Gennara rzucali, wołając: „Niech żyje harfista“.



Najdoskonalsze widzenie Pana Jezusa.

Przysłowie powiada: „Świętym jest na ziemi, kto umiał przyjaźń zawrzeć ze świętymi.“

Jan, uczeń umiłowany Zbawiciela, stał się żywym odblaskiem pierwszego swego mistrza z nad Jordanu, proroka pustkowi judzkich, Jana Chrzciciela. Jak on, przyjął na się rolę druha Oblubieńca, który w cień zstępuje, by Oblubieniec zajaśniał, który umniejsza się, by urósł Oblubieniec, który weselem się weseli dla głosu oblubieńcowego, sam pogrążony w milczeniu. Jan Apostoł w swej księdze o Synu Bożym najzupełniej w cień ustąpił. Nawet imienia swego nie używa, mówiąc o sobie, imienia, jakie mu nadali ludzie, ale podaje zawsze imię, jakim go nazwała miłość Chrystusowa. Jan się umniejszył, Jan zniknął niemal z kart swej ewangelji na to, aby żył, aby urastał w duszach wiernych Chrystus.

Z Jezusem z Nazaretu, o którym imieniem uczniów wyznał był pierwszy papież: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego“ — każe nam Jan przestawać. Z życia dusz naszych każe nam uczynić jakby nieustającą Wieczerzę Pańską. Pochyla naszą skroń na Serce Pana, tętniące w Jego księdze, a sam zstępuje w cień...

Powoduje nim i skromność — zapewne — skromność zupełnie zrozumiała w uczniu wobec Mistrza-Boga. Skłania go może odczuwany w głębi duszy powód, który niegdyś wypłynął z pod pióra Arystotelesa, *bardziej uszczęśliwia nas jedna myśl wyższego rzędu, niż myśli tysiąc o poziomych przedmiotach*. Myśl o Bogu-Człowieku jest najwyższą z pośród myśli wysokich, — niechże zatem myśl o uczniu nie zaciemnia, nie płami w duszach wzniesłego obrazu Zbawiciela. Lecz ponad te wszystkie i wszystkie możliwe względy istnieje dla Jana powód o żywiołowej potędze. On nie mógł nie pisać o Jezusie i tylko o Nim z zapomnieniem o sobie... Wyznaje w księdze Objawienia: „Widziałem Pana, siedzącego na stolicy wyniosłej i wywyższonej. Pełną była cała ziemia chwały Jego Majestatu...“

Jan widział Pana w chwale Majestatu. Widział, i ten widok pochłoniął, zagarnął całą jego duszę, serce, istotę całą, jak żar pożogi porывa źdźbło suchej trawy. Jan widział Pana, a widział zgoła odmiennie od innych, widzeniem wzniosłym i na tyle sposobów, ilu tylko dostąpić może człowiek żyjący w ciele.

Widział więc najpierw Boga tak, jak widzą Go wszyscy ludzie, którzy na prawdę Bóstwa nie chcą zamykać oczu. Widział Go widzeniem duchowem poprzez osłony świata —

poznaniem rozumu. Ale następnie z gronem apostołów stał się uczestnikiem łaski wyższego, bezpośredniego widzenia Boga, który przyoblekł ciało ludzkie i „postawą znaleziony jest, jako człowiek“ w Ziemi świętej. Jak jego współcześni, widział i on Boga **oczyma ciała.** Widział Boga — rzekłby kto — skryzalizowanego w Chrystusie. Widział Chrystusa żywym, umarłym, zmartwychwstałym i wstępującym do nieba.

Wspaniała, potrójna gwiazda potrójnego widzenia Boga świeci nad czołem tego, który bierze nas za rękę i wieść pragnie.

Dokąd prowadzić chce Jan? Czy nad fale morza bezkresne, bijące o brzeg łądów zadasaną mocą? Czy wspiąć się każe na potężne szczyty gór, zgarbione niby pod ciężarem niebios, co na nich się wsparły? Czy tam iść rozkaże, dokąd nie doleci, gdzie połamie swe skrzydła nawet gromowy ptak — wicher huraganów? Czy tam aż wiedzie, gdzie krążą biegi gwiazd? — O nieporównana z niczem, nieskończona to droga!

Nie! Jan prowadzi w światy jeszcze wspanialsze!

On nam otwiera złote bramy niezdołytego świata serc i dusz, myśli, tęsknot i porywów, walk i triumfów ludzkich. — Wyżej jeszcze nas wiedzie — w świat duchów anielskich — i jeszcze wyżej! — Orzeł Pański krąży nad przepaściami Bóstwa... Niczem mu ziemia, nazbyt nizinnem niebo. Pierś Jana odetchnąć pragnie tchnieniem Serca Najwyższego... Najmilszego Przyjaciela, Mistrza i Boga swego — Jezusa! Skąd wrócił przed chwilą, powracając z Patmos, tam nas prowadzi, porywa... Widział Pana na stolicy Majestatu, którego chwały była ziemia pełna. Ku Niemu wprost powiedzie.

Jeśli chcemy tak odczuć Jezusa, jak Jan tem trzeciem widzeniem — idźmy do Domu Rekolekcyjnego, który będzie dla nas tem, czem Patmos dla Ukochanego Ucznia Jezusa. Tam natężmy źrenice, wysilmy wzrok ducha, otwórzmy serce całe! My rozumowaniem jakby wykruszamy ze świata Istotę Bóstwa. Niby drobne pyłki złota ze skał granitu wybieramy myśl za myślą. Ale tam Bóg, sam w sobie Nieskończony, stanie przed nami. Zamknięty w o'kruchu trzech liter „Bóg“, przelany w sekundę myśli On, którego nie ogarnie wieczność, tak maluczki w poznaniu naszym — silnie się potem zaznaczy w życiu naszym.

Takim Go widział Jan i takim Go nam ukazuje w Piśmie świętem.

Do Domu Rekolekcyjnego podążmy ujrzeć uszczęśliwiający Majestat Boga!

Ks. x. x.

Róże.

Przed otwartem oknem z różą na kolanach siedział chłopczyk, ciężko oddychając i kaszłając... Od czasu do czasu krew ukazywała się na ustach jego, czerwieniąc chusteczkę obficie, którą podnosił do ust ruchem omdlałym. W pobliżu stał robotnik, patrzył i nagle twarz ukrył w dłoniach...

— Idźcie już, ojcie.

Był to cichutki szmer, lecz ojciec usłyszał.

— Ciebie zostawić, w takim stanie? Nie, Janku, fabryka nie ucieknie — odrzekł ojciec cichym głosem, ze smutkiem spuszczać głowę na piersi.

— Idźcie, ojcie, dziś pilną macie i zyskowną robotę...

Idźcie...

Wybuch krwi przerwał słowa chłopięcia, ojciec, zarówno blady jak i syn, tłumiąc bluźnierstwo, podtrzymywał upadającą głowę chorego.

Cisza zaległa... tylko z oddali przerywał ją świergot ptasząt.

Janek otworzył oczy.

— Idźcie, ojcie, już mi teraz dobrze.

— Nie będę spokojny zdala od ciebie, mój synku.

Chłopczyna zawahał się...

— Sąsiadka, która tak pięknie śpiewa, opiekować się mną będzie.

— Ta dewotka? Nie zgadzam się na to.

— Ojcie proszę cię... będą się gniewać we fabryce. Przynieś mi, ojcie, nową różę...

Ojciec, bojąc się, by chłopcu znowu się nie pogorszyło, rzekł:

— Pójdę i przyślę ci tu kogo, ale pamiętaj, żeby mi tu nie była żadna dewotka ani zakonnica, a tembardziej ksiądz, bo inaczej źle będzie...

W pięć minut później weszło do pokoju chorego młode dziewczę, wzięła go za rękę i cicho rzekła:

— Jak się masz, bracie?

Janek spoglądał zdziwiony.

— Nazywam się Zuzanna Aubry, znamy się przecież, bo razem niedawno przystępowaliśmy do pierwszej Komunii świętej. Czy pamiętasz tę chwilę?

— O, pamiętam, pamiętam, to najpiękniejsza chwila była w moim życiu... byłem tak pięknie ubrany, jaśniały świece, kwiatów dużo, a przedewszystkiem Jezus do duszy mej przyszedł raz jeden i tylko raz jeden...

Od śmierci mej matki ojciec jeszcze bardziej bluźni przeciw Bogu, nienawidzi religji i ja umieram, ale księdzka nie dopuści do mnie. Ale nie boję się...

— A czy masz różaniec?

— Porwał go ojciec i spalił, ale ja mam inny różaniec, mój różaniec. Przybliź się i nachyl, Zuzanno, bo słabo mi i ciężko mi mówić. Ojciec każdego dnia przynosi mi różę. Jeżeli to jest pączek napół otwarty, wtedy myślę sobie o tajemnicach radosnych. Nadzieja ukrywa się w tych listkach nieco odchylonych... Myślę wtedy o Zwiastowaniu Najświętszej Panny Marji, o Jezusie malutkim, pięknym i dobrym. Najświętsza Marja Panna to Róża duchowna, która kocha i czuwa nad Jezusem. Woń róży przypomina mi woń świętości, niebo, Boga!

Kiedyindziej zapominam o kwiecie a patrzę na kolce, to tajemnice bolesne: Konanie, biczowanie, ukoronowanie, ukrzyżowanie; jeżeli różę dostanę wtedy czerwoną, całuję ją pobożnie, z miłością myśląc, że całuję ślady Krwi Pana naszego Jezusa Chrystusa; jeżeli róża jest białą, myślę o łzach Matki Bożej, o Jej boleściach.

Często otrzymuję różę całą rozwiniętą, wtedy cieszę się, myśląc o chwale, triumfie i szczęściu w niebie.

Raz ojciec zobaczył, że coś cichutko mówię, patrząc na różę, dosłyszał słowo: Marja; zaraz zapytał, co mówię, lecz mu powiedziałem: Mówię Marja, bo to imię matki mojej i ona kochała kwiaty. Odtąd już się o nic nie pyta, gdy z różą rozmawiam.

Zmęczony długą mową, umilkł, ciężko oddychając. Zuzanna położyła mu rękę na głowie i rzekła:

— Zmęczyłeś się, staraj się usnąć...

— Tak, chce mi się spać i to bardzo.

I zamknął oczy... aby ich już nie otworzyć więcej.

Ojciec powrócił. Spojrzał na syna.

— Śpi...

Blady bardzo, ale co za uśmiech szczęścia na jego twarzy. Róża biała rozwinięta na piersiach jego — pomimo niewiary ojca — to znak chwały, triumfu i szczęścia Janka w Bogu.

Księgarnia i Drukarnia Katolicka Sp. Akc.

Katowice, ul. Marszałka Piłsudskiego 58.

PKO. 304324.

poleca następujące wydawnictwa:

„Ofiarna miłość”

sztuka w 4 aktach

cena zł 1,10

Wśród wielu sztuk, przeznaczonych dla teatrów amatorskich, zasługuje na szczególne wyróżnienie „Ofiarna miłość”. Głównymi jej bohaterami to baronowa, kobieta zła, despotyczna, przewrotna i lubiąca znęcać się i maltretować bezbronne ofiary. Zupełnie odrębnym typem jest Irena, jej pasierbica, która, mając w pamięci swą zmarłą matkę i wielki kult do Matki Bożej, kieruje się zawsze szlachetnymi pobudkami swego dziewczęcego serca i odplaca się swej gnębielce miłością i przebaczeniem krzywd, jakich doznała od niej. — Treść sztuki poucza nas, iż idąc za przykazaniem bożem: „będziesz miłował Pana Boga swego, a bliźniego jak siebie samego”, znajdziemy zadowolenie w życiu i szczęście.

Sztuka nadaje się specjalnie dla zespołów żeńskich, zwłaszcza dla Sodalicyj i Kongregacyj Marjańskich

Zamówienie

Do Księgarni i Drukarni Katolickiej S. A.

KATOWICE

Proszę uprzejmie o nadesłanie:

..... egz. „Ofiarna miłość”, sztuka w 4 aktach — cena 1,10 zł

..... egz. Nowenna do św. Judasza Tadeusza — cena 0,30 zł

Uwaga! Powyższe książki wysyłamy tylko za uprzednim nadesłaniem należności wraz z przesyłką na nasze konto

P. K. O. 304.324 lub znaczkami pocztowymi.

Przy żądanej książce podać ilość egzempli, odciąć, napisać drugostronnie nazwisko i adres zamawiającego i wysłać

Nakład Księgarni i Drukarni Katolickiej Sp. Akc. w Katowicach,
ul. Marsz. Piłsudskiego 58.

Wielka cześć i szczególne nabożeństwo, jakimi cieszy się wśród głęboko wierzącego ludu katolickiego, zwłaszcza na Górnym Śląsku, św. apostoł Judasz Tadeusz, skłoniły wyżej wymienioną firmę do wydania drukiem nowenny do tego wielkiego Świętego. Liczne podziękowania w prasie za wysłuchane prośby za wstawieniem św. Judasza Tadeusza wskazują, jak skuteczne są modlitwy, zanoszone do Pana Boga za jego pośrednictwem. Wszyscy więc, którzy pragną uzyskać łaski i aby prośby ich zostały wysłuchane, niechaj modły swe przed tron Najwyższego zanoszą za pośrednictwem św. Judasza Tadeusza, odmawiając powyższą nowennę. Ponieważ nowenny do tego Świętego od dłuższego już czasu nie było w handlu księgarskim, z prawdziwym więc zadowoleniem należy powitać ukazanie się nowego wydania tej pożytecznej książeczki, która z pewnością cieszyć się będzie wielkim powodzeniem wśród wiernych.

Nadawca:

DRUK

Znaczek
za 5 gr

Do

**Księgarni i Drukarni
Katolickiej Sp. Akc.**

Katowice

Marsz. Piłsudskiego 58

A i ja chcę zdobyć wielkość.

Każdy człowiek ma wrodzone dążenie do wielkości. Różne są drogi do osiągnięcia tego pragnienia...

N. p. dziecko staje na krześle lub stole i woła: „Patrz, mamo, ja jestem duży...” Sportowiec czuje się wielkim, gdy zdobędzie rekord... Istnieje kategoria dziewcząt, których mózgi rozsądza duma wielkości, gdy dostaną tytuł „miss”, chociażby na małej tańcówce... Inni szukają swej wielkości w posiadaniu bogactw, stanowisk, tytułów, honorów, orderów i t. p. I tak całą litanję przedmiotów wielkości możnaby wliczyć...

I jakąż wartość mają takie wielkości?...

Jest to wielkość płomyka słomianego, spalającego się w paru sekundach i zostawiającego trochę swądu, popiołu i dymu....

A czy my, członkowie Misji Wewnętrznej, za podobnemi śmiesznościami ubiegać się mamy?...

Nie! Nasza droga do zdobycia wielkości — to tereny Boże, tereny ofiar i cnót w myśl słów Kochanowskiego:

„Cnota skarb wielki, cnota klejnot drogi,
Jego nie wydrze nieprzyjaciel srogi,
Nie spali ogień, nie zabierze woda...
Nad wszystkim innem panuje przygoda.“

Z chwilą powstania Misji Wewnętrznej stanęliśmy w tysięcznych masach u bram Apostolstwa. Niektórzy z nas chętnie przyjęli już obowiązek apostołski, uzbroili się w broń, daną im przez Misję Wewnętrzną i ochoczo weszli na teren działalności.

I cóż tam ujrzeli?...

Oto wiele dusz pogrążonych w ciemnościach, błakających się po rozdrożach bez światła Wiary, bez isierki nadziei, bez miłości Boga... Apostołowie Misji Wewnętrznej otoczyli ich swą troską, niosąc pomoc duchową, bo tej im najpilniej potrzeba.

Dać łaskę Wiary może tylko Bóg. Więc też owi zapaleńcy sprawy Bożej, Apostołowie Misji Wewnętrznej, odmawiają modlitwę Misji Wewnętrznej i dodają ofiarę z cierpienia i przykrości codziennych, innym dobrze czynią — a to wszystko dla duszy, którą z tego terenu nędzy duchowej obrali i o której zbawienie się troszcza.

Oto nasza droga do prawdziwej wielkości. Zasług tych, często ukrytych przed ludźmi, a wielkich w oczach Boga, nikt nam nie odbierze, one okryją naszą skroń wieńcem chwały nieśmiertelnej.

Ci, którzy jeszcze nie dali się porwać twórczej fali naszej Misji Wewnętrznej — niechże zrzucą z siebie małoduszny lęk i uderzą w czynów stal pod doświadczonem dowództwem naszego Arcypasterza. Do pracy!

Dalsze wieści o Zjeździe Marjańskim.

Jak w lipcowym numerze „Głosu Misji Wewn.“ zapowiedzieliśmy — Sekretarjat Akcji Katolickiej i Misji Wewnętrznej organizuje Zjazd Kongregacyj i Sodalicyj Marjańskich z całego Śląska.

Zjazd najprawdopodobniej odbędzie się w Katowicach, 3-go września, o ile nie zajdą jakieś poważne przeszkody.

Na Zjazd przyrzekł już swą obecność J. E. ks. Biskup Adamski, który obiecał wygłosić kazanie do zgromadzonych czcicielek Marii.

Zjazd ten dla rozwoju i dalszego planu pracy w Kongregacjach i Sodalicyjach będzie miał wielkie znaczenie. — Zostaną wygłoszone referaty dotyczące ruchu marjańskiego w Polsce z szczególnem uwzględnieniem potrzeb terenu śląskiego. Referaty obejmą dział ideowego nastawienia Kongregacyj i Sodalicyj, wnikną na teren praktycznych potrzeb i przedstawiają program pracy na okres najbliższy, który uwzględni cele i zadania Kongregacyj, łącznie z przyłączeniem ich do Misji Wewnętrznej Diecezji Katowickiej.

Nie trzeba chyba zapewniać, że Sekretarjat dołoży wszystkich starań, by ta całodzienna uroczystość wielkiej rodziny marjańskiej zacieśniła węzły miłości wzajemnej i by uczestniczki wzmocnione na duchu i z nowemi wiadomościami wróciły do swych stowarzyszeń i radośnie opowiedziały co słyszały na Zjeździe i co z niego przywiozły dla rozwoju swojej Kongregacyi.

Zatem wszystkie Kongreganistki i Sodaliski — szykujcie się gremjalnie na Zjazd Marjański!

Tem okażemy przywiązanie do Najśw. Marii w rocznicę 75-lecia Jej Objawienia się w Lourdes. Wspólnie złożmy hołd Matce Boskiej a przy tem uczcimy i jubileusz 1900-lecia Odkupienia naszego.

Już od dziś trzeba rozpocząć przygotowanie na wyjazd. Ogłosić na najbliższem zebraniu członkowskiem o miejscu i terminie Zjazdu i zachęcić członkinie, aby rozpoczęły oszczędzać na podróż. Nie żałować trudu i pracy — a na Zjazd przybyć jak najliczniej!

Z otuchą Was czekamy i mile Was powitamy!